Malcolm Jameson

Posłuszeństwo

(Bullard 2)

(White Mutiny)

Astounding Science-Fiction, October 1940
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Po raz pierwszy w życiu komandor[1] Bullard czegoś się obawiał – bardzo się obawiał. I, co dziwne, chodziło tylko o rutynową sobotnią inspekcję. Za dziesięć minut miał przypiąć szablę, ten osobliwy, ceremonialny relikt starożytności, założyć niezgrabną, wystającą na wszystkie strony czapkę i towarzyszyć nowemu kapitanowi – Chinnery'emu – w podróży przez labirynty starego dobrego statku kosmicznego Polluks.

Westchnął bezradnie, uniósł wzrok na komandora porucznika Frasera, po czym popatrzył na półkę z książkami, na której stała seria płóciennych okładek o długości sążnia. Zmierzył je wzrokiem z zawziętością. Nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że jest ich aż tyle. Dotychczas wypełniał swoje obowiązki, tak jak to widział, a „rozdziały i paragrafy" zostawiał kosmicznym prawnikom.

Ale te grube tomiszcza zawierały mnóstwo paskudnych klauzul, które regulowały postępowanie Straży Kosmicznej. Tak więc, na półce stały – osiem grubych tomów – odpowiednie Regulaminy. W następnej kolejności znajdowały się trzy tomy Instrukcji Służby i pięć Instrukcji Technicznych. Potem nadchodził zestaw dotyczący astrogacji i czternaście wielce uczonych tomów o prawie międzyplanetarnym; następnie pozycje dotyczące taktyki i strategii, a dalej…

Bullard wzdrygnął się. To było przytłaczające. Naruszenie, nawet nieświadome, któregokolwiek z postanowień zawartych w tej całej bibliotece było technicznie „zaniedbaniem obowiązków". A nowy kapitan był skrupulantem, jeśli chodzi o przepisy.

— Od tej chwili — oznajmił Bullardowi tydzień wcześniej, przy okazji konfiskaty i zniszczenia wszystkich uszytych na miarę, mundurów wyjściowych załogi — przepisy obowiązują. *Wszystkie*, a nie tylko te, które akurat przypadkiem komuś pasują.

A Bullard przypomniał sobie posępne twarze, do niedawna tak szczęśliwego okrętowego towarzystwa, kiedy wrzucali swoje eleganckie ubrania do spalarki. Miarka w rękach Chinnery'ego ujawniła, że ubrania były zbyt ciasne w talii i aż o trzy cale za pełne w ramionach. Oświadczył, że było to wyraźne naruszenie art. 8878, sekcje B i D.

Zostały więc zniszczone. Dla Chinnery'ego wydawało się nie mieć najmniejszego znaczenia, że żaden szanujący się człowiek kosmosu nie pozwoliłby się zobaczyć, nawet podczas najgłębszego nurkowania, w tandetnym seryjnym mundurze, ani też nie miało dla niego znaczenia, że

[1] Idąc za tradycją tłumaczeń w fantastyce naukowej, nazwy wszystkich stopni wojskowych, tłumaczę w sposób dosłowny. Pamiętać jednak należy że w opowiadaniu tym pochodzą one z marynarki Stanów Zjednoczonych. Tak więc stopień Bullarda „komandor" – Commander – odpowiada polskiemu stopniowi komandora porucznika. „Komandor porucznik" – Lieutenant Commander – odpowiada polskiemu stopniowi komandora podporucznika. „Kapitan" to tytuł kapitana statku, ale w sensie rangi wojskowej – Captain – odpowiada polskiemu stopniowi komandora. Zaś np. „chorąży" – Ensign (lub w marynarce brytyjskiej midshipman) – to najniższy stopień oficerski w marynarce, odpowiadający polskiemu podporucznikowi marynarki (przyp. tłum.).

każdy z tych mundurów kosztował swojego właściciela dwie lub trzy miesięczne pensje. Byli one nieregulaminowe i już. I co z tego, że dziewczyny na planetach miały zwyczaj oceniać żeglarzy po ich ubiorach? I co z tego, że ludzie chodzili teraz nadąsani i nieustannie narzekali przy pracy?

— Kilka dni o chlebie i wodzie pozwoli to wyeliminować — stwierdził cierpko Chinnery, gdy Bullard zaprotestował. — Pytanie brzmi – czy mamy kierować statkiem w taki sposób, jak chce tego departament, czy też tak by rozpieszczać ludzi?

A Bullard wrócił myślami do świetnego raportu z ostatniej inspekcji admirała – który przyniósł im same zaszczyty i awanse; oraz tablicę w sterówce, głoszącą, że Polluks jest najlepszym statkiem w całej służbie. Dla młodego człowieka, którego uczono, że sukces polega na wykonaniu wszystkich stawianych przed nim zadań, trofeum to zdawało się rozstrzygać sprawę. Wydawało mu się, że liczą się wyniki, a nie sposób działania.

Rozległo się pukanie do drzwi. To był ordynans kapitana. Bullard odebrał przyniesioną przez niego złożoną kartkę papieru, przeczytał ją, zmarszczył brwi i rzucił na biurko.

— Proszę powiedzieć panu kapitanowi, że się tym zajmę — powiedział ze znużeniem do ordynansa. Była to jedna z niezliczonych podobnych wiadomości, jakie otrzymywał od kapitana przez dziesięć ostatnich dni.

— Pan kapitan polecił, że ma pan odpowiedzieć niezwłocznie na piśmie — oznajmił sztywno ordynans.

Jego zachowanie było idealnie poprawne, ale w sposobie, w jaki to powiedział, czuło się nutkę bezczelności. Ordynansi kapitanów zaszczuwających ludzi, szybko nabierają odpowiedniej maniery.

Bullard rzucił mu ostre spojrzenie, po czym sięgnął po tom II Regulaminu. Względem Carlsona przyniesiony kawałek papieru leżał do góry nogami, ale był w stanie go przeczytać.

Od: Dowódca
Do: Pierwszy Oficer.
Temat: Obowiązki.
Odnośny przepis: Art. 2688, SK Reg.

1. Zwrócono mi uwagę, że odnośny przepis nie jest przestrzegany.
2. Proszę pana o niezwłoczne pisemne wyjaśnienie przyczyn tego zaniedbania obowiązków z pańskiej strony.

CHINNERY.

Bullard znalazł artykuł 2688, przeczytał go i aż sapnął. Brzmiał on tylko:

Pierwszy oficer nakręca chronometr.

— Cholera — wymamrotał i nacisnął guzik wzywający przydzielonego mu podoficera. Podyktował mu trzy zwięzłe zdania. Chronometr Polluksa chodził idealnie, był codziennie nakręcany przez pomocnika nawigatora, tak jak było to praktykowane we flocie, pierwszy oficer nie rozumie aluzji dowódcy odnośnie zaniedbania obowiązków.

Bullard przygryzał wargę, czekając aż kancelista wystuka list, po czym podpisał go i bez słowa wręczył czekającemu ordynansowi.

Po dwóch minutach, ordynans powrócił.

— Kapitan mówi — powiedział ordynans z nawet już nieskrywanym tonem bezczelności w głosie — że nie interesują go żadne tak zwane zwyczaje, praktykowane w służbie. Mówi, że przepisy wymagają od pierwszego nakręcania chronometru i że nie ma w nich nic o możliwości delegowania tego obowiązku na któregoś z podwładnych. Oraz, że od tej chwili żąda on prostych odpowiedzi na swoje notatki, a nie wymijających usprawiedliwień.

Bullard popatrzył na marynarza, a jego twarz nabrała kolorów. Ordynans odwzajemnił się chłodnym spojrzeniem.

— Powiedział, że ma pan potwierdzić…

— Wynoś się stąd! — ryknął Bullard, zrywając się i uderzając ręką w biurko.

— Ten głupi grubas odgrywa się na tobie, ot co! — zawołał Fraser, gdy ordynans zniknął w korytarzu. — Wciąż go boli, w jaki sposób go ukazałeś podczas inspekcji admirała. Zazdrości ci, ten…

— Spokojnie! — ostrzegł Bullard. — W końcu to nasz oficer przełożony.

— Przełożony, a niech mnie! — parsknął Fraser. — Owszem, ma wyższą rangę. Ale rozpala mnie aż do czerwoności, kiedy muszę patrzeć na tego niechluja. A za każdym razem, gdy widzę tego jego cwanego ordynansa, mam ochotę mu przyłożyć. To samo dotyczy tego wszawego pisarza okrętowego. Ta sprawa, że masz osobiście nakręcać chronometr! Przecież, jak…

— Jak? — zaśmiał się szorstko Bullard. — Jeśli myślisz, że to jest problem, to spójrz na to. Przysłał to tuż przed twoim przybyciem.

Rzucił Fraserowi wcześniejszą notatkę.

— Uff! — sapnął oficer artylerii, wytrzeszczając oczy.

— Tak — potwierdził z goryczą Bullard. — Artykuł 2751 mówi, że pierwszy oficer powinien upewnić się, że kwartalne stany inwentarzowe są prawidłowe, ale widzisz, te jego pismaki interpretują to jako konieczność osobistej kontroli poszczególnych pozycji – a przy tym nie oznacza to możliwości losowego wyboru próby do sprawdzenia.

— A co z tymi wszystkimi cegłami ogniotrwałymi w D-66? Robiłem to zwykle w jardach sześciennych, ale one są nanoszone w księgach inwentarzowych według numerów…

— Muszę je przeliczyć – całe cholerne czterdzieści dwa tysiące i parę sztuk.

— Jak mamy kiedykolwiek coś zrobić? — spytał ponuro Fraser.

On, tak jak każdy inny oficer na statku, otrzymał swój własny zestaw krótkich pytań kapitana Chinnery'ego, co do tego czy tamtego przepisu. Już dawno temu zrezygnował z nieformalnych ćwiczeń artyleryjskich. Wszyscy jego maci artyleryjscy siedzieli po uszy, w sporządzaniu list części zamiennych, numerów seryjnych silników, i kompletnie byli pochłonięci inną tego rodzaju papierkową robotą.

— O wilku mowa — zauważył równie ponuro Bullard, gdy gong zaczął ogłaszać inspekcję pomieszczeń. Sięgnął po szablę i przekrzywioną czapkę. — No cóż, chodźmy i poznajmy kolejne złe wieści.

A złe wieści pojawiły się. Zadowolony z siebie, pulchny mały Chinnery siedział długo w każdym przedziale, uprzejmie wskazując kolejne uchybienia techniczne. Jedyną rzeczą na statku, która wydawała mu się podobać, były źle dopasowane, kiepsko ufarbowane mundury załogi – wykonane dla zabicia czasu na ponurej Junonie, przez osadzone tam więźniarki. Niezadowolone, kwaśne spojrzenia ludzi zdawały mu się zupełnie nie przeszkadzać. Jego ambicją było mieć idealny statek – na papierze – i to planowane osiągnięcie, zostało należycie wpisane do dziennika okrętowego. Urzędnik oceniający w Departamencie, po przeczytaniu tego wpisu od razu będzie wiedział o jego aktywności, podczas gdy rozmaite subtelności – takie jak morale – nie były tak łatwe do przekazania zimną czcionką.

W sub-CS grupa inspekcyjna zrobiła zwykłą przerwę. Oko kapitana padło na staromodną tablicę sygnalizacyjną systemu alarmowego, zawieszoną na grodzi, nad pulpitem łączności między statkami. Wyciągnął do góry rękę i mocno uderzył nasadą dłoni w glasytową osłonę. Na tablicy spadła czarna karta z numerem „24-B”.

— Co to znaczy? — warknął na nieszczęsnego operatora, rekruta który dopiero co znalazł się na pokładzie. — Co zrobisz, gdy spadnie taka karta?

— Ja… nie wiem, panie kapitanie. N-nikt nigdy mi tego nie powiedział…

— Co! — pisnął Chinnery. — To powierzono ci wachtę, i nie wiesz, co zrobić, kiedy pali się magazyn prochowy? Bullard! Co to ma znaczyć? — Popatrzył wściekle na Bullarda, marszcząc swoją tłustą twarz w czymś, co miało być surową miną.

— Ta tablica… — zaczął cierpliwie Bullard.

Ale Chinnery przerwał mu natychmiast.

— Nieważne. Wiem, co to jest za tablica. Dlaczego ten człowiek nie został poinstruowany o swoich obowiązkach?

— Ponieważ… — Bullard spróbował po raz drugi, ale kapitan nie słuchał.

— Dosyć tych wymówek. Kancelista! Proszę zanotować… do protokołu dowódcy… o tym. Zobaczmy, to podpada pod artykuł 14, pod zarzutem „zaniedbania obowiązków”, prawda?

— Siedemnaście, panie kapitanie — odpowiedział kancelista, przerzucając strony swojego notatnika.

— Hmm-m — mruknął Chinnery.

— Ale… — sprzeciwił się Bullard, a jego gniew narastał.

— Tylko proszę bez żadnych ale, młody człowieku. Zaczynam dostrzegać, że pańska wychwalana skuteczność, to głównie szczęście. Wyobraźcie sobie państwo! Posłać na wachtę operatora telefonicznego, który nie wie, co robić w przypadku pożaru magazynu amunicji!

Odwrócił się do, w tej chwili już kompletnie przerażonego, chłopaka i powiedział głosem, który w zamierzeniu miał być kojący:

— To, mój drogi chłopcze, jest wskazanie wysokiej temperatury w magazynie prochowym. Gdyby ten numer kiedykolwiek spadł, natychmiast zalej magazyn – a potem powiadom mnie. Odpowiednie urządzenia są po twojej prawej ręce – tam.

Bullard, purpurowy z wściekłości, powstrzymał się. Potem pochwycił uroczyste mrugnięcie okiem Frasera i postanowił odpuścić. Fraser wiedział równie dobrze jak on, że tablica nie jest już połączona z termoparami[1] w magazynach prochu. Opadnięcie karty z jakimkolwiek numerem mogło oznaczać tylko, że tablica została uszkodzona, co zdarzało się już wcześniej, z kłopotliwymi konsekwencjami. Z tego powodu ten system alarmowy został wycofany i zastąpiony lepszym, w Centrali. I właśnie dlatego w aktach figurowało zlecenie na jego całkowite usunięcie, gdy tylko następnym razem wrócą do stoczni na Lunie.

Podobne wybuchy ze strony kapitana, miały miejsce także i w innych miejscach, ale dopiero gdy znaleźli się w lewoburtowych pomieszczeniach torpedowych, jego legalistyczny umysł zaprezentował się w pełnym rozkwicie. Położył dłoń na dziwnym wybrzuszeniu w grodzi wewnętrznej.

— Co jest za tym? — zaczął się dopytywać.

— Oryginalne wciągniki torpedowe — odparł Fraser. — Ale obecnie przeszliśmy w pełni na magnetyczne. Stare zostały zaślepione płytami, aby nie gromadził się w nich brud.

— Ach — stwierdził Chinnery, — zdaje się, że pamiętam.

Posłał swojego kancelistę, aby pobiegł z powrotem do jego kajuty po plik kwartalnych raportów. Po powrocie podoficera, Chinnery spojrzał groźnie na Frasera.

— Kolejne zaniedbania — oznajmił. — Od ponad trzech lat nie przeprowadzono żadnych rutynowych testów tych urządzeń, żadnej comiesięcznej kontroli ich ręcznej obsługi, nie ma żadnych raportów kwartalnych. Żadnych zapasów ani zapotrzebowania na części zamienne. Czy przepisy nic dla pana nie znaczą?

Fraser popatrzył na swojego kapitana z kompletnym zdumieniem.

— No, no — oznajmił złośliwie Chinnery — niech pan tak nie stoi, z tą głupią miną. Chodzi o to, że wciągniki są nadal zainstalowane, niezależnie od tego, czy pan ich używa, czy nie. A ponieważ są zainstalowane, podlegają zwykłym procedurom konserwacji i raportowania.

[1] Termopara – rodzaj elektronicznego czujnika temperatury (przyp. tłum.)

— Ale, panie kapitanie — wtrącił Bullard — jedynym powodem, dla którego one wciąż tu są, jest to, że pomimo ich wycofania, departament uznał, że taniej będzie pozostawić je na miejscu i zasłonić, niż wyrywać z grodzi. Co więcej, nie możemy uruchamiać ich co miesiąc – przewody łączące je z silnikami zostały usunięte.

— W takim razie proszę przeciągnąć nowe — warknął kapitan — a w razie potrzeby wymienić silniki.

— Tak jest, panie kapitanie — warknął Bullard.

To była ostatnia kropla przepełniająca czarę. Gdyby Chinnery utrzymywał w stanie gotowości tego typu rzeczy, statek jeszcze przed końcem miesiąca, zmieniłby się w szalony dom wariatów – stałby się całkowicie bezużyteczny jako okręt bojowy. Nic tak nie odbiera marynarzom i oficerom ducha, jak bezużyteczna głupia praca – zwłaszcza gdy jest wykonywana kosztem czegoś naprawdę wartościowego.

Bullard miał się jednak wkrótce dowiedzieć, że jego kłopoty dopiero się zaczynają. Jako na pierwszego oficera, to na niego spadła konieczność przekazywania głupich rozkazów Chinnery'ego młodszym oficerom, którzy z kolei przekazywali je ludziom, narzekając przy tym i nie kryjąc się z kąśliwymi uwagami. Co do marynarzy, to po prostu chodzili nadąsani, ponuro robiąc to, co im kazano. Tląca się uraza była widoczna wszędzie i w końcu doszła do szczytu w dniu, w którym Chinnery wtrącił czterech ludzi do aresztu i umieścił porucznika Carlsona w areszcie domowym na dziesięć dni. Ich dokładne wykroczenie nie zostało jasno wyartykułowane, ale kapitan określił to jako „nadgorliwość". Zrobili coś samodzielnie, nie czekając na jego bezpośrednie polecenie.

— Ale, panie komandorze — błagał Fraser Bullarda, — nie możemy iść tą drogą. Mieliśmy najwspanialszy statek w całej cholernej flocie, a co mamy teraz? Dom wariatów! Schodzi na psy tuż przed naszymi nosami. Ludzie są na skraju buntu... zarówno Benton, jak i Tobelman zostali zdegradowani, co jest jawną niesprawiedliwością... i doszły mnie słuchy...

— Tak, wiem — odparł Bullard ponuro. Siedział przez chwilę głęboko zamyślony.

Wiedział, że po statku krąży petycja protestacyjna, że tworzono komitety podoficerów i że za chwilę władują się na skały.

— Sprowadź mi tutaj tych dwu ludzi — powiedział nagle Bullard — i jeszcze Carricka, farmaceutę.

Kiedy przyszli, Bullard przyjrzał się im uważnie, gdy ustawili się w szereg przed jego biurkiem. Znał ich dobrze, a oni jego. Byli ostoją statku – prawdziwymi przywódcami załogi – ludźmi, na których oficerowie polegali we wszystkich sprawach. Tacy ludzie mogli zbudować lub złamać kapitana. Bullard przyjrzał się ich twarzom i z wdzięcznością pomyślał o pewnym gburowatym starym bosmanie, który taktownie spuścił z niego powietrze, kiedy był jeszcze zupełnie zielonym, zadzierającym nosa podporucznikiem. Część z tej idącej z dołu do góry nieoficjalnej dyscypliny

była dosyć trudna do zniesienia, ale dzisiaj wiedział, że dzięki temu stał się lepszym oficerem.

— Panowie — powiedział, patrząc im prosto w oczy, — mamy trudny zadanie. Mamy nowego kapitana. On jest… no cóż, inny niż kapitan Dongan. Jest bardziej… eee… przywiązany do przepisów, jeśli wiecie co mam na myśli.

— Tak jest, panie komandorze — odpowiedzieli chórem ludzie — wiemy.

— Niekompetentny dureń — wypalił oburzony Fraser. — Cholernie dobrze wie, że dopóki ściśle trzyma się przepisów, nie mogą nic mu zrobić, bez względu na to co stanie się ze statkiem. A niech tylko ktoś wykaże się inicjatywą, odrobiną zdrowego rozsądku, to od razu ma pętlę na szyi. Bo jego działanie mogłoby okazać się niewłaściwe. Mówię ci, to tchórz! I tyle!

— Taki wybuch może pomóc dać upust emocjom, Fraser — powiedział spokojnie Bullard — ale nie zmieni sytuacji. Kapitan Chinnery wciąż jest kapitanem i jako taki jest czymś więcej niż tylko człowiekiem. Jest symbolem… symbolem najwyższej władzy. Co więcej, każdy wydany przez niego rozkaz był ściśle zgodny z prawem. Każda odmowa ich wykonania z naszej strony, załatwia tylko nas, a jego nawet nie tyka. Nie mamy żadnego innego wyboru, jak tylko posłuszeństwo.

— I mamy patrzeć, jak statek wesoło idzie w diabły! — Fraser był oburzony.

— Być może.

Dopiero w tej chwili Fraser oraz trzej milczący marynarze po raz pierwszy dostrzegli igrający na ustach Bullarda półuśmiech i przelotny błysk w jego oku.

— Przypuśćmy — zauważył sucho Bullard, wpatrując się w rzędy książek — że tak się stanie. Oczywiście, będzie dochodzenie. Winni zostaną wykryci. Takie rzeczy zawsze zaczyna się od góry. Proponuję tak to zorganizować, by na tym się skończyło. Ja, na przykład, nie mam zamiaru przyjąć winy, nawet w najmniejszej części.

— Co przez to rozumiesz?

— Rozumiem przez to, że jedynym możliwym kierunkiem działania, jaki jest przed nami, to pełna współpraca.

— Współpraca? — Śmiech Frasera zabrzmiał twardo i sucho. Benton i jego towarzysze milczeli.

— Dokładnie. Kapitan Chinnery narzeka na niewłaściwie umiejscowioną inicjatywę. Dobrze, dajmy sobie spokój z inicjatywą. On chce statku regulaminowego do bólu. Pokochajmy regulaminy – zmieńmy się pedantycznych służbistów. Róbmy to, co nam powiedziano – *i ani odrobinę więcej!*

Bullard podryfował spojrzeniem z powrotem na stojących przed nim trzech niewzruszonych marynarzy i rozgorączkowanego oficera. Dostrzegł, że Benton i Tobelman, maskują uśmiechy na swoich twarzach, oraz że gorące oburzenie Frasera przygasa i zamiast niego pojawia się zrozumienie.

— Nieźle… Nieźle — powiedział powoli ten ostatni. — Zwalczyć ogień ogniem, co?

— Przekażemy wieści, panie komandorze — nadeszło od Bentona, a pozostali dwaj ludzie uśmiechnęli się szczerze. — Będzie współpraca.

— Dobrze — odparł komandor Bullard i natychmiast po wyjściu grupy, zagłębił się w tomie 2 Regulaminu.

Nikt oprócz Boga, wszechmocnego i wiecznego, który pewnie byłby w stanie to zrobić, nie mógł oczekiwać, że wykona wszystko, czego te regulaminy wymagają od pierwszego oficera, ale mógł próbować realizować je po kolei, paragraf po paragrafie, tak jak szły.

Popatrzył na 2707.

Od czasu do czasu, pierwszy oficer upewni się, poprzez osobistą inspekcję, że boksy na łodzie są właściwie przygotowane…

— Ach — szepnął Bullard — wyprzedzę go z tym.

I udał się na szeroką płetwę, na której spoczywały łodzie. Sto dziewiętnaście elementów w każdym boksie na łódź – a łodzi było osiem! Już samo to proste zadanie zajmie mu ze dwa dni pracy!

II

Mniej więcej dwa tygodnie później zaczęły krążyć plotki o odrodzeniu się bandytyzmu na Neptunie. Tylko statki kosmiczne mogły sobie poradzić z tym zjawiskiem, ponieważ w skalistym i nierównym terenie, oraz na pozbawionym powietrza niebie, zwykła żandarmeria planetarna nie była w stanie skutecznie działać. Coraz bardziej uporczywa była pogłoska, że jeden z większych okrętów Patrolu Jowiszowego miał zostać wydzielony i wysłany tam, aby zlikwidować złoczyńców.

Bullard skrzywił się, gdy o tym usłyszał, ponieważ najbardziej prawdopodobnym statkiem był oczywiście *Polluks*. Jak na ironię, ostatni raport admirała Abercrombie na jego temat, jednoznacznie stwierdził, że jest to statek najlepiej przystosowany do służby w nagłych wypadkach. Jednak Bullard wiedział, podobnie jak każdy człowiek na pokładzie – z wyjątkiem może samego Chinnery'ego – że *Polluks* sprzed zaledwie czterech miesięcy to przeszłość, legenda. Morale? Było śmiechu warte! Albo raczej płaczu.

Zaledwie przed trzema dniami miał miejsce wyciek ze skraplacza na prawej burcie, a kiedy poinformowano o tym kapitana, poszedł go obejrzeć.

— No dobrze, rozbierzcie go i pozbądźcie się tej rury — warknął.

Ludzie Bentona przystąpili do pracy, rozebrali zbiornik skraplacza i wykręcili rurę. Potem wymienili obudowę, pieczołowicie wykonali wszystkie podłączenia i przywrócili urządzenie do działania. Następnego dnia poszły dwie kolejne rury.

— Niech to diabli! — pisnął Chinnery, kiedy mu o tym powiedziano. — Jak to możliwe? Przecież dopiero co rozbieraliście ten skraplacz. Czy nie widzieliście, że te dwie pozostałe rury też niedługo pójdą?

— Kazał nam pan, żebyśmy wymienili tę nieszczelną, panie kapitanie — odparł Benton, z kompletnie martwą twarzą. Mógłby dodać, że to nie rury były uszkodzone, ale wypaczona była głowica. Ale nikt go o to nie prosił.

— Co za głupota! — mruknął kapitan Chinnery. — Bardzo dobrze, ponownie go rozbierzcie i zróbcie wszystko od nowa.

— Mamy naprawić rurę, którą zrobiliśmy wczoraj? — zapytał Benton, okazując lekkie zdziwienie.

— Nie, głupcze, te dwie, które poleciały teraz!

— Tak jest, panie kapitanie.

Bullard przyglądał się beznamiętnie. Cierpkie słowa Chinnery'ego sprzed kilku tygodni wciąż go bolały. „Jeśli zechcę aby cokolwiek zostało zrobione, wydam odpowiedni rozkaz – ten statek nie jest aż tak bardzo skomplikowany, żeby jeden człowiek nie potrafił ogarnąć go myślą".

A jednak, kiedy sobie to przypomniał, wiedząc, że następnego ranka skraplacz będzie musiał zostać rozebrany po raz trzeci, zastanawiał się, w jaki sposób *Polluks* miałby udać się na Neptuna, jeśli otrzyma taki rozkaz, i co miałby robić, kiedy już tam dotrze. Bullard wzruszył ramionami i wyrzucił tę sprawę z głowy. To było zmartwienie Chinnery'ego. Potem uniósł głowę i zobaczył ordynansa, który stał przy jego biurku z nieuniknioną notatką w ręku. Bullard beztrosko wziął ją i przeczytał:

Mając na uwadze nasz prawdopodobny odlot na jedną z planet zewnętrznych, proszę podjąć wszelkie konieczne działania, aby zapewnić, że na pokład nie zostanie wniesiona żadna kontrabanda. Paragraf 10 009, Reg. SK.

Bullard wyprostował się w krześle i zmarszczył brwi. Wiedział, nie patrząc nawet na odnośny przepis – że był to jedyny paragraf w regulaminach, którego zignorowanie uznawał za konieczne, najbardziej nawet rygorystyczny służbista. To znaczy, jeżeli chodziło o Neptuna i Plutona. Ponieważ marsjańska joola-joola, zakazany trunek, był jedynym znanym specyfikiem przeciwko tajemniczemu i niewidzialnemu promieniowaniu emitowanemu przez te zimne i skaliste, mroczne planety. Nie służył on tam do odurzania się – był niezbędnym stymulantem. Jednak ponieważ rada kontrolna składała się z purytańskich Ziemian, straż kosmiczna nie była w stanie zmodyfikować tego paragrafu. Stąd niepisane prawo służby, aby jego naruszenia traktować z przymrużeniem oka.

Młody zastępca dowódcy wiedział, że powracająca z przepustki grupa, będzie dobrze zaopatrzona w ten towar – wystarczająco sprytnie ukryty, aby uratować twarz pierwszego, który przynajmniej pozornie musiał trzymać się przepisów. Rzucił okiem na zegar. Było dobrze po piątej, czasu Io, i wkrótce łodzie zaczną wracać. Wstał niespokojnie i wyszedł w kierunku włazu wejściowego. Wiedział już co nieco o metodach Chinnery'ego i bał się jakiejś brudnej zagrywki.

— Co to za urządzenie? — Bullard spytał chorążego Pitto, oficera pokładowego, wskazując na urządzenie wznoszące się przy trapie wejściowym.

— Polowy fluoroskop, panie komandorze. Rozkaz kapitana. Za tym płóciennym ekranem, w poprzek przejścia ustawiona została lampa rentgenowska.

Bullard groźnie popatrzył na urządzenie i pospieszył do swojego biura. Ostatnio nauczył się tłumić złość, ale w tej chwili było to trudne. Natychmiast przejrzał złośliwy plan kapitana. Najwyraźniej Chinnery, gdy odpowiadało to jego celom, wiedział również, jak omijać przepisy. Aby upewnić się, że ma rację, Bullard chwycił tom zatytułowany „Dotyczy personelu wojskowego”. Tak, było tam. Ludzie mieli jednak *pewne* prawa.

11 075: Ani osoba, ani rzeczy jakiegokolwiek marynarza nie podlegają przeszukaniu, chyba że istnieją ku temu dobre i dostateczne powody. Za wyjątkiem przypadków podejrzenia kradzieży oraz sytuacji gdy marynarz posiada znaną złą historię, osobiste oświadczenie marynarza, że nie posiada kontrabandy, ma zostać uznane za wystarczające.

— A więc — mruknął ponuro — przeszukanie, które nie jest poszukaniem. Śmierdzący, paskudny sposób na obsmarowanie rejestrów setek ludzi – i przy okazji na uderzenie we mnie. — Zatrzasnął książkę. — Cóż… on tego nie zrobi.

Dwadzieścia minut później Bullard wyskoczył z jednego z żyrokopterów, które działały jako łodzie zaopatrzeniowe dla okrętu. Przystań na brzegu wciąż była pusta, ale wkrótce zapełni się wracającymi marynarzami, z rękoma pełnymi tobołków – niewinnych zakupów – i gdzieś pośród nich zakazaną joola-joola. A na statku, kapitan Chinnery czekał z przebiegle zastawioną pułapką.

— Zatrzymaj następną łódź na statek, aż wrócę — powiedział pośpiesznie Bullard do porucznika Carlsona, który pełnił służbę strażnika na brzegu. Po tych słowach rzucił się do najbliższej spelunki z alkoholem.

Po drodze minął kilku ludzi z Polluksa, kierujących się na przystań dla łodzi. Salutowali nieśmiało, wciąż boleśnie skrępowani z powodu konieczności noszenia paskudnych seryjnych mundurów, przez które stali się na lądzie pariasami.

Jednak, zanim dotarł do knajpy z alkoholem, była ona już pusta. Albo prawie. W rogu, prawie schowany za słupem, siedział kancelista kapitana – pisarz okrętowy Norvick. Gdy drzwi zatrzasnęły się za Bullardem, zobaczył, jak urzędnik składa notatnik i wsuwa go do kieszeni. Na barze stał szereg płaskich butelek z zakrzywionego szkła, w niewielkiej części pełnych. Barman napełniał pozostałe z ogromnego gąsiora, delikatną fioletową joola-joola.

— Acha — pomyślał Bullard, — lepiej sprawdzić dwukrotnie, co? Główny szpieg Chinnery'ego zdobywa informacje u źródła!

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł z tego miejsca. Widział wystarczająco dużo. Ustawione rzędem na barze piersiówki powiedziały mu, jak przemycano ten towar. Obecność węszącego dla kapitana kancelisty, w połączeniu z aparatem rentgenowskim czekającym na trapie Polluksa, wyjaśniły mu, jak kapitan planował załatwić jego – a wraz z nim większość załogi.

Pobiegł w stronę pomostu lądowiska, kipiąc wewnątrz ze wściekłości. Ale gniew nie przesłaniał mu myśli. Z każdym krokiem analizował jakiś nowy plan udaremnienia spisku kapitana. Napędzały go, tak samo jak i wtedy, gdy zaproponował tę niekooperacyjną współpracę w celu zapobieżenia jawnemu buntowi, najwyższe motywy. Chciał uratować załogę – i młodszych oficerów – przed małostkowym, niekompetentnym kapitanem. W sytuacji nieustannego podburzania ich przez ohydne połajanki i złośliwości, bał się jawnego rozłamu. Bo w takim przypadku wszyscy przegrają.

Sytuację tę uważał za skrajnie irytującą, ponieważ podobnie jak załoga zdolny był do najgorętszej lojalności – kiedy był odpowiednio dowodzony.

Szkoda, że z ogólnie tak wspaniałej floty, załoga *Polluksa* wyciągnęła na kapitana taki kiepski los, człowieka, który skrywał swoje braki umiejętności za technicznymi szczegółami wydrukowanymi w książkach. Ale tak się stało. Trzeba było wyciągnąć z tego co się da.

Gdy Bullard dotarł do pomostu, serce mu zamarło. Carlson skończył swoją powierzchowną inspekcję i już załadował ludzi do łodzi, która stała w oczekiwaniu na odlot. To był niefortunny wypadek, bo jeśli dałoby się udowodnić, że ludzie wnieśli trunek do jednej z łodzi, zostałoby to potraktowane to tak samo, jakby wnieśli go na pokład samego *Polluksa*. Plan Bullarda, aby ostrzec ludzi, dopóki znajdowali się ciągle poza jurysdykcją Straży Kosmicznej, stał się niewykonalny. A kiedy zobaczył, że za nim podąża kancelista Norvick, wiedział już, że zabranie wracającej z przepustek grupy z powrotem na brzeg, aby pozbyli się kontrabandy, byłoby gorsze niż niezrobienie niczego. Błyskawicznie zmienił plany.

— Wszyscy ludzie, wysiadać z łodzi i zbiórka na nabrzeżu. W szeregu.

Kilku z czekających zamrugało, zaskoczonych rozkazem, ale wszyscy wysiedli z łodzi i zrobili zbiórkę.

— Mam rozkaz — oznajmił powoli Bullard — dopilnować, żeby na pokład nie trafiła kontrabanda. Ale zanim was o to zapytam, dokonam krótkiej inspekcji mundurów.

Odwrócił się do miejsca, w którym stał za nim marynarz z patrolu, obracając w dłoni dębową pałkę.

— Proszę mi na chwilę pożyczyć — powiedział Bullard i wziął kij.

Zatrzymał się przed pierwszym człowiekiem w szeregu i zmierzył go wzrokiem od góry do dołu. W obcisłych spodniach seryjnego munduru nie było miejsca aby cokolwiek ukryć. Tak, wszystko musi być w piersiówkach

na brzuchu. W zamyśleniu wysunął pałkę i delikatnie puknął sztywno wyprostowanego marynarza w bluzę, tuż nad pasem. Rozległ się cichy brzęk.

Pam! Szybkim i nieoczekiwanym uderzeniem Bullard szturchnął mocniej pałką. Następnie podszedł do kolejnego człowieka. Wydawało mu się, że za sobą słyszy dzwonienie odłamków szkła spadających na chodnik, ale nie odwrócił się. Znowu próbne stuknięcie, znowu ostry, nagły cios, znowu stłumiony brzęk – i powoli rozszerzająca się wilgotna plama na barbarzyńskim seryjnym mundurze. Bullard nawet na nią nie spojrzał, tylko zrobił krok do przodu. Gdzieś w tle ktoś zachichotał, ale twarz młodego zastępcy dowódcy była zamrożona, bez żadnego wyrazu.

Czternaście razy w tym szeregu wykrył charakterystyczny brzęk i czternaście razy uderzył. Potem cofnął się, patrząc ludziom w twarz, a nie w małe, rozszerzające się kałuże fioletowego czegoś, u ich stóp.

— Czy któryś z was, ma w swoim posiadaniu jakąś nielegalną substancję?

— Nie, panie komandorze!

Krzyk zabrzmiał unisono, jakby wcześniej był przećwiczony. Twarz Bullarda niemal wykrzywiła się w szerokim uśmiechu, ale udało mu się go powstrzymać.

— Na pokład! — rozkazał.

Marynarze wrócili do łodzi, wśród nich Norvick. Bullard już miał iść za nimi, kiedy zobaczył nową grupę ludzi idących wzdłuż nabrzeża, wśród nich Bentona i Carricka. Bullard wyszedł im na spotkanie.

— Kiedy będziesz wchodzić na pokład, Carrick — powiedział Bullard w najbardziej rzeczowy sposób — lepiej sprawdź, jak działa twój sprzęt do fluoroskopii rentgenowskiej. Kapitan Chinnery korzysta z niego na trapie.

— Skurwy… — zaczął Carrick.

— Przestań gadać! — warknął Benton do Carricka. Następnie do pierwszego oficera: — Dziękuję, panie komandorze; polecimy następną łodzią.

— Wspaniale — powiedział Bullard, a jego prawa powieka drgnęła tylko w najlżejszy sposób.

Benton obrócił się i rozłożył ramiona w stronę grupy marynarzy zbierających się koło łodzi.

— Wracajcie, ludzie. Chcę z wami porozmawiać.

— Odlatuj — powiedział Bullard do sternika, siadając między lekko wilgotnymi i śmierdzącymi ludźmi, którym właśnie zrobił inspekcję. Rzucił jedno spojrzenie na okrętowego pisarza siedzącego naprzeciw niego z krzywym uśmiechem na twarzy, jakby rozbawił go jakiś tylko jemu znany żart, po czym popatrzył na pozostającą w tyle powierzchnię Io. Wzruszył ramionami. W tej łodzi nie ma kontrabandy. Ani też, o ile cokolwiek można było udowodnić, nigdy nie było.

— **D**zieli pan włos na czworo, Bullard, i tyle! — Chinnery niemal krzyczał z wściekłości. — Powinien pan aresztować tych ludzi, skonfiskować butelki jako dowód i przynieść je do mnie, do…

— Moje rozkazy — odparł Bullard, usiłując zachować spokój — mówiły, żeby podjąć wszelkie działania, jakie są konieczne, do zapobieżenia wniesieniu kontrabandy na pokład. Zgodnie z moją najlepszą wiedzą, nic nie zostało przemycone. Te rozkazy są w moim sejfie, czekając na przesłuchanie przed sądem, które *Polluks* z pewnością będzie musiał przejść przed…

— Przed sądem wojennym stanie pan na pewno! — wrzasnął kapitan. — Bo mam niezależnego świadka, który widział te butelki joola-joola…

— Widział butelki wypełnione jakimś bladofioletowym płynem — poprawił chłodno Bullard. — Na nieszczęście były to bardzo kruche butelki i ich zawartość uległa utracie. Nie ma sposobu, aby udowodnić, co w nich było. O ile wiem, to były to perfumy, które wytwarza się z ganimedańskich kwiatów plimris.

Zabrzmiał dzwon dokowania łodzi.

— Nieważne — oznajmił Chinnery, z triumfem zastępującym rozdrażnienie i złość. — Niech pan pójdzie ze mną na trap. W chwili, gdy usłyszałem o pańskim aroganckim zachowaniu, wysłałem wiadomość do strażnika na brzegu, że nie będzie już więcej inspekcji z poklepywaniem po brzuchach.

Bullard szedł za nim z bardzo mieszanymi uczuciami. W najwyższym stopniu polegał na szybkości reakcji Bentona i jego wszechstronności. Jaki owoc przyniosło zawoalowane ostrzeżenie, które mu rzucił?

— Tutaj mamy trzech — powiedział chorąży Pitto, wskazując na trzech marynarzy ustawionych w szeregu przy grodzi. — Reszta była czysta.

— Acha! — zawołał rozradowany Chinnery, rzucając zupełnie zdezorientowanemu Bullardowi spojrzenie typu a-nie-mówiłem.

Ci trzej ludzie, byli to trzej czołowi podoficerowie statku – Benton, Tobelman i Carrick. Chinnery pochylił się i zerknął na fluoroskop. Bullard też nie mógł się powstrzymać. Każdy z marynarzy miał pod kurtką płaską, prostokątną paczkę w poprzek pępka. Jej kształt był niepowtarzalny – butelki joola-joola! Wykonane ze szkła ołowiowego, wyglądały jak opuchnięty kciuk.

— Przeszukać ich – rozebrać! — wrzasnął kapitan, pewien swojego zwycięstwa.

— Panie kapitanie, my protestujemy. — To przemówił Benton. — Przysięgamy, że nie mamy kontrabandy. Nie ma pan prawa…

— Wykonać moje rozkazy! — wrzasnął kapitan, zwracając się z wściekłością do wachtowego bosmana.

Po chwili kurty mundurowe trzech protestujących ludzi zostały z nich zerwane, a przedmioty w kształcie butelek wyrwane zza ciasnych pasów.

— C-c-co… — Kapitan Chinnery raz po raz obracał jedną z nich w dłoniach, skrajnie niezadowolony. Była to lekko zakrzywiona płyta z czegoś w rodzaju gipsu. Na przedniej stronie znajdowała się prymitywna płaskorzeźba jałówki i nabazgrana inskrypcja, głosząca: „Pamiątka z

Kopalni Baru na Io, wykonana z jednego z naszych produktów – gipsu z baru, odpornego na promieniowanie gamma”.

Przez chwilę kapitan Chinnery stał jak ogłupiały, wpatrując się w przedmiot, który obracał w rękach. Potem rzucił go na pokład i ruszył korytarzem, przeczesując włosy drżącymi palcami i mamrocząc: „Cholera, cholera, cholera!”. Bullard popatrzył za odchodzącą postacią i zaczął się śmiać. W jednej chwili cały korytarz rozebrzmiał wyciem dwudziestu śmiejących się do rozpuku ludzi, gdy grupa marynarzy z następnej łodzi przepływała przez właz i szła nim, do swoich szafek. Chorąży Pitto, zdziwiony i otumaniony biegiem wypadków, patrzył na niego ze zdumieniem, nie zawracając sobie głowy ponownym użyciem zdyskredytowanego teraz fluoroskopu.

Benton podniósł swój gips i włożył go z powrotem za pas.

— Ktoś tu jest mi winien kufel piwa — powiedział do przechodzącego człowieka.

— Dostaniesz — odparł marynarz. — Nawet dwa.

III

Strome ściany krateru Kerensa otaczały ich jak mury jakiegoś ogromnego Koloseum. Twarze wszystkich ludzi w sterówce *Polluksa* były twarde, ponure. Byli niespokojni i wielu z nich zastanawiało się, czy mimo wszystko dadzą sobie radę. Pędzili bowiem prosto w dół, w stronę znajdującego się pośrodku poszarpanego stożka, ze straszliwą szybkością, a każdy z nich wiedział, że statek w którym się znajdowali, był na wpół wrakiem. Połowa maszynowni została rozebrana na części – do rutynowych testów – i to samo dotyczyło akumulatorów. Z trudem funkcjonował. Bardzo problematyczne wydawało się, czy był w stanie walczyć. A w tym kraterze znajdowało się ponad tysiąc najtwardszych łotrów, jacy kiedykolwiek pojawili się wśród podrzynaczy gardeł.

Chociaż każdy z ludzi rozpamiętywał swój własny wkład w obecny chaos, jednak nie mógł nie wspomnieć którejś z wypowiedzi kapitana. W całym zatłoczonym pomieszczeniu przez myśli tego czy innego z nich, przebiegały wspomnienia takich suchych i niszczących człowieka powiedzeń, jak te – wszystko to cytaty z kapitana Chinnery’ego:

„Kiedy będę potrzebować informacji, poproszę o nie.”

„Mam pełno pomysłów, młody człowieku. Wszystko, czego oczekuję od pana, to ich wykonywanie.”

„Nieważne dlaczego – mówię panu, że ma pan to zrobić.”

„Oczywiście, to utrudnia prowadzenie ognia z dział – ale przepisy tego wymagają.”

„Odwołać ćwiczenia – ma pan trzy kwartalne raporty do sporządzenia.”

„Przekracza pan swoje uprawnienia! Proszę czekać na dalsze rozkazy!”

I tak dalej. Człowiek był przeklęty, jeśli coś zrobił, przeklęty, jeśli nie. Kiedy kogoś nie da się zadowolić, nikt tego nawet nie próbuje.

Kapitan Chinnery dał ciąg wsteczny na szaleńczą moc, i upadek statku został powstrzymany z szarpnięciem. Fraser szukał na horyzoncie legowiska bandytów. Wtedy nagle ryk odrzutu zacharczał i ucichł. Chinnery ze złością warknął przez komunikator do maszynowni.

— Kto wyłączył te silniki?

— Brak paliwa, panie kapitanie.

Chinnery pobladł. Nikt się nie odezwał, ale wszyscy znali nieuchronny skutek. I przyczynę. Rozbiją się, ponieważ rakiet na wodór nie da się uruchomić na czas. A przyczyną tego stanu rzeczy była odmowa przez Chinnery'ego zgody na ostatnie uzupełnienie uranu, na tej podstawie, iż statek przekroczył już swój kwartalny limit jego zużycia!

Chinnery włączył jednostki antygrawitacyjne, ale były za słabe i było już za późno. *Polluks* uderzył o grunt z prędkością mniej więcej dziewięćdziesięciu mil na godzinę, wyskoczył wysoko w pozbawione powietrza niebo, po czym uderzył ponownie, dziobem w dół. Światła zgasły, a po chwili zapaliły się ponownie. Ludzie podnosili się na nogi, rozcierając siniaki i spoglądali na siebie oraz na pełne chaosu przedziały wokół nich.

— Ogień we wszystkich magazynach! — Przez głośniki rozległa się zaskakująca wiadomość: — Magazyny zalane.

Bullard jęknął. Jego nie-kooperacyjna współpraca poszła dalej, niż zamierzał.

Na tablicy sygnalizacyjnej w sub-CS przyklejono rozkaz kapitana – zalać wszystko to, co pokaże którykolwiek z tych niepodłączonych monitorów! Wstrząs upadku, oczywiście spowodował, że pospadały wszystkie, a przestrzegający zasady ślepego posłuszeństwa operator zrobił to, co mu kazano. Działa statku stały się bezużyteczne.

Chinnery wyglądał na chorego, ale wciąż się trzymał.

— Załadować torpedy — polecił. — Widząc nas w takim stanie, mogą zaatakować w każdej chwili.

— Nie mogę — oznajmił Fraser, nie owijając w bawełnę. — Żadne wciągniki nie działają.

— Co! — wyjęczał Chinnery.

— Tak. Chciał pan, żeby te oryginalne działały – dla porządku. No cóż, zrobiliśmy to. Ale żeby to zrobić, musieliśmy zabrać silniki z prawdziwych wciągników. Odzyskanie ich zajmie cały dzień.

Głośno zaczął brzęczeć dzwonek alarmu.

— Duża grupa ludzi zmierza w naszą stronę po dnie krateru — zwołał obserwator. — Mają ze sobą czołgi i jakiegoś rodzaju działo gąsienicowe.

— Niech pan coś zrobi, Bullard — powiedział Chinnery błagalnym tonem, obracając pobladłą twarz do swojego młodego pierwszego. — Jest pan takim zaradnym facetem.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, panie kapitanie — sztywno odparł Bullard. — Co pan sobie życzy, żebym zrobił?

— Ustawiają to działo — zameldował obserwator. — Znajduje się dokładnie na zachód od nas – niemal za rufą, tak jak leżymy. Piesi ludzie rozstawiają się u podnóża zbocza na sterburcie.

— Przygotować siły desantowe — zarządził Chinnery, odzyskując głos po trzecim przełknięciu śliny.

— Przepraszam — zauważył Bullard, — ale magazyn broni strzeleckiej jest zalany. Tam są też wszystkie nasze pistolety energetyczne. Nie ma żadnej dostępnej broni, chyba że sztućce w kambuzie. Pański rozkaz, pamięta pan – wszystko należy przez cały czas przechowywać w magazynach.

Statek zadrżał. Nastąpiło staccato serii eksplozji, gdy grad metalu uderzył w jego opancerzone burty. Działo bandytów znajdowało się w zasięgu ostrzału.

— Grupa piesza ma świder cieplny — zameldował obserwator. — Kierują się na północ.

— Otworzyć ogień! — pisnął Chinnery. Był bliski omdlenia.

— Z czego? — zapytał Fraser, nie zamierzając go oszczędzać.

Nagle Chinnery wziął się w garść i wyprostował. Szaleńczo rozejrzał się po milczących, oskarżycielskich, nieprzyjaznych twarzach. Potem zwrócił się do Bullarda.

— Wygrałeś, Bullard. Od samego początku wiedziałem, że to będziesz ty, albo ja. Ale zorganizowany bunt to już zbyt wiele. Poddaję się – dla dobra statku. Przejmuj kontrolę. Zrób to po swojemu. — Jego głos ucichł. Następnie upadł na stojak z mapami i zwymiotował. — Jawny bunt — mruczał w kółko. — Jawny bunt i niesubordynacja.

Wargi Bullarda wykrzywiły się z pogardą.

— Wykonania którego z pańskich rozkazów kiedykolwiek odmówiono? Jakie zagrożenie dla pańskiej osoby kiedykolwiek stworzono? A teraz, po tym, jak pan nas zniszczył, chce pan zrezygnować. Ponieważ nie wie pan, co robić. Jest pan tchórzem!

Bullard patrzył gniewnie na skuloną postać.

— Ale — ciągnął, nie zważając na stały grad pocisków na kadłubie — zgodnie z pańską cenną biblioteką regulaminów, nie może pan zrezygnować. Nie, dopóki pan żyje i jest pan zdrowy. Kapitan nie może uchylić się od odpowiedzialności – nigdy!

— Jestem chory — zawodził Chinnery, osuwając się na pokład.

Bullard skinął głową w stronę chirurga okrętowego, porucznika Herilona.

— Zgadza się, jest chory — oznajmił Herilon po badaniu trwającym mniej więcej sekundę. — Diagnoza: śmiertelne przerażenie. Rokowania: okropne. Innymi słowy, jest niezdolny do służby.

— W takim razie dobrze — powiedział Bullard. — Przejmuję dowodzenie. Ale, panie doktorze, proszę upewnić się, że to trafi do dziennika okrętowego.

Doktor wyszczerzył zęby w uśmiechu. Okręt został przejęty zgodnie z przepisami, w porządku.

Bullard poderwał się do działania jak rozdrażniony ryś.

— Benton! Rozgrzej te stare rakiety rufowe i przygotuj się do wystrzelenia z nich serii odmierzonych odrzutów.

— Harris! Wyciągnij te dwa ciężkie podnośniki i zabierz je na zewnątrz. Ustaw je po obu stronach statku i obracaj nim, aż rufa nie wyceluje w tę broń bandytów.

— Tobelman! Wyciągnij z uchwytów pół tuzina waszych torped, wsadź je na wózki ładunkowe i niech ludzie przetransportują je najlepiej jak się da, do pomieszczenia silników rakietowych.

— Carlson, ty oblicz krzywe balistyczne. Będę strzelał torpedami w ten sposób. Znasz grawitację Neptuna, a na zewnątrz jest próżnia. Benton poda ci tabele ciśnienia w silnikach.

— Rury rakiet silnikowych są szersze niż torpedy — zauważył szybko Carlson.

— Wiem. Owińcie torpedy drutem, aż będą pasować!

Bullard przerwał by złapać oddech. Potem zobaczył Norvicka, lekko zielonego na twarzy, skulonego w kącie.

— Ty – kancelista kapitana! Łap za swój notatnik i bierz się do roboty. — Głos Bullarda brzmiał szorstko, a spojrzenie było twarde. — Chcę, żebyś zanotował każde przekroczenie przepisów, które będzie miało miejsce od tej chwili. Zacznij od paragrafu – bez względu na to, jaki jest jego numer – który mówi, że nie wolno kierować materiałów inżynieryjnych do działu uzbrojenia. I pamiętaj, jeśli przegapisz choćby jeden naruszony punkt regulaminu, natychmiast pójdziesz pod sąd!

— Tak jest, panie komandorze — jęknął zdumiony pisarz statku, ale wyciągnął swój ogromny notatnik.

Obserwator znowu zameldował.

— Ci ludzie są już w połowie drogi pod górę. Mają ze sobą jeszcze jakąś inną maszynę – nie widzę jej dobrze.

— Fraser! — krzyknął Bullard. — Jak długo zajmie ci przerobienie tej wielkiej dmuchawy do wyciągania spalin w górnej płetwie, w odśrodkowy karabin maszynowy? Czy wiesz, co to za zwierzę?

— Tak jest, panie komandorze. Wiem. Zrobię to w mgnieniu oka!

— Zajmij się tym. Tylko zrób to w pół mgnienia.

— Tak, tak, panie komandorze. Ale, amunicja?

— W magazynie D-60 są ze trzy czy cztery tony różnych łożysk kulkowych. Dopilnuję, żebyś je dostał.

Po paru minutach Bullard przestał wykrzykiwać rozkazy. Otarł oczy i potrząsnął głową. Zaczął odczuwać dziwne, mdlące uczucie. Nagle ogarnął go lęk, że w każdej chwili może się załamać. Wziął głęboki oddech, ale nic mu to nie pomogło. Po chwili zauważył, że drżą mu ręce.

— Promieniowanie zaczyna coraz silniej oddziaływać, panie komandorze — zameldował lekarz. — Kilku ludzi już się załamało pod jego wpływem. Podaję *supren*, ale nie wydaje się to zbyt skuteczne.

Bullard już wiedział, co się z nim dzieje.

— Niech pan nie traci na to czasu — powiedział niecierpliwie. — Proszę dać każdemu po kieliszku joola-joola.

— Nie ma na pokładzie ani trochę — powiedział Herilon. — Próbowałem…

— Diabli tam, nie ma! Są tego całe galony. Po prostu niech pan spyta Carricka, Tobelmana albo…

Herilon wybiegł jednym skokiem.

Statek się zatrząsł. Tym razem od odrzutu własnych rakiet. Carlson wystrzelił swoją pierwszą torpedę z rufowych silników rakietowych. Nastąpiła chwila oczekiwania na ocenę miejsca trafienia, a potem poszła kolejna.

— Ta grupa jest załatwiona — zameldował wesoło Carlson, chwilę później. — Jezu! Co za bałagan robią te torpedy!

— Pomóż Fraserowi z drugą grupą.

Dziesięć minut później, wzmocniony podwójnym kielichem joola-joola, Bullard obserwował straszliwą egzekucję na zboczu od strony sterburty. Najpierw rozległo się śpiewne zawodzenie, gdy wysokoobrotowy silnik zwiększał swoją prędkość, a potem grzechot, gdy pojemnik pełen łożysk kulkowych spadł na szybko obracające się łopatki wentylatora. Po chwili, pod szeroko padającym gradem pocisków tego super-kolosalnego garłacza, nadciągający piraci zaczęli padać jak muchy. Chwilę później ich tajemnicza maszyna została sama i bez opieki, pośród spiętrzonych stosów ciał.

— To chyba już wszyscy — stwierdził Bullard. - Powiedzcie Bentonowi, żeby czekał w gotowości do startu z tej dziury, na starych rakietach. Załadujemy uran, jak tylko dotrzemy do bazy.

Admirał Mike Dongan uniósł brwi, wpatrując się w masę papierów, które położył przed nim Bullard. Stary kapitan Mike, po awansie, został wysłany do strefy zewnętrznej jako dowódca tutejszych sił. Więc to u niego, w Wysuniętej Bazie Tethys, zameldował się Bullard.

— Ale… — zdziwił się stary. Bullard, kiedy znał go na *Polluksie*, nigdy nie wykazywał nadmiernych ciągot do papierkowej roboty.

— Ten pierwszy stos — wyjaśnił Bullard, — to zarzuty przeciwko mnie zgromadzone do momentu objęcia tymczasowego dowództwa…

— Bzdury — stwierdził admirał Mike Dongan, spoglądając na pierwszą kartkę od góry. Wrzucił wszystko do kosza na śmieci.

— Drugi stos zawiera listę rzeczy, które zrobiłem niezgodnie z przepisami, wyciągając starego *Polluksa* z opałów. Nawet tego nie wiedziałem, dopóki…

— Naprawdę? — odparł kapitan Mike, bardziej bacznie. Otworzył szufladę biurka i starannie włożył do niej obciążające Bullarda dokumenty. — To bardziej na temat. Chcę je przekazać radzie kontrolnej. — Wsunął szufladę, a potem ją zamknął na klucz.

Bullard nie wiedział dokładnie, jaką reakcję wywołają te papiery, ale z pewnością nie przewidywał takiej. To było niepokojące.

— Widzisz — powiedział admirał Mike, przyglądając się kłębuszkom dymu ze swego cygara — otrzymałem upoważnienie do przygotowania kolejnego tomu Regulaminu…

Bullard skrzywił się.

— …który będzie nosił tytuł „Instrukcja postępowania w nadzwyczajnych sytuacjach kryzysowych” — admirał zaczął szarpać za inną szufladę — hm… i takie rzeczy… hm… są po prostu bardzo potrzebne, do jego stworzenia.

Do tego czasu stary otworzył szufladę i wyjął z niej błyszczącą kryształową karafkę, napełnioną do połowy aromatycznym zakazanym owocem Marsa. Napełnił dwie szklaneczki fioletowym trunkiem.

— Oczywiście, zanim kapitan Chinnery został dziś rano wpisany na listę emerytowanych oficerów, przedstawił dość długą listę twoich… eee… zaniedbań, jak mi się wydaje, że je nazwał…

— Tak? — powiedział Bullard, siedząc jak na szpilkach.

— Jest tego — ciągnął dalej admirał, unosząc swoją szklaneczkę, podziwiając delikatny kolor jej zawartości i pociągając łyk — jakieś czternaście zarzutów i Bóg wie, ile punktów regulaminu…

— Nikogo to kompletnie nie obchodzi — oznajmił admirał tonem ważnej decyzji. — Dostałeś bandytów, nieprawdaż – wszystkich? Sprowadziłeś *Polluksa* do domu, nieprawdaż? Niech to diabli! Łyknij sobie solidnie, chłopcze – masz moją dawną robotę. Od tej chwili, jesteś kapitanem *Polluksa*!

KONIEC